MŁODOŚĆ

Czasopismo illustrowane, poświęcone sztuce i literaturze.
Rok II. Zeszyt IV. i V.
Kwiecień. Maj. 1900.
Adres redakcyi i administracyi: Kraków, ulica Gołębia l. 16.

TREŚĆ NU. IV. i V.

MŁODOŚĆ

MIESIĘCZNIK
LITERACKI i ARTYSTYCZNY

WYCHODZI W KRAKOWIE W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRENUMERATA KWARTALNA WYNOSI:
W AUSTRYI: 1 KOR. 40 HAL.
ZAGRANICĄ: 3 KOR.

CENA JEDNEGO ZESZYTU 1 KOR.



K. DUNIKOWSKI

Ś. P. WŁODZIMIERZ ROGOSZ.

PAMIĘTAM GO, GDY NA WIECU AKADEMICKIM BRONIŁ SWOJEJ »MŁODOŚCI«. BRONIŁ JEJ OD ZARZUTÓW STRONNICZOŚCI. BOŻE TY MÓJ! STRONNICZOŚĆ I ON! ON ROZTĘSKNIONY JAKĄŚ ZAŚWIATOWĄ TĘSKNOTĄ, TA CZYSTA DUSZA, CO DRŻAŁA NA MYŚL, ABY ZA 20, 25 LAT »NIE UKAZYWANO NAS PALCAMI, MÓWIĄC: OTO PRZEDSTAWICIELE TEGO POKOLENIA, KTÓREMU ZARZUCONO SERWILIZM«. BRONIŁ SIĘ OD ZARZUTU KOSMOPOLITYZMU ON, KTÓRY TAK WPROST, OD SERCA WOŁAŁ: BĄDŹMYŻ POLAKAMI I CZUJMY RAZ NARESZCIE, ŻE JESTEŚMY NIMI!

HISTORYA »MŁODOŚCI« ZWIĄZAŁA SIĘ ŻYWIOŁOWO Z IMIENIEM ROGOSZA. ON JĄ STWORZYŁ WRAZ Z NAJPIERWSZYM INICYATOREM UNGEREM, ON BYŁ JEJ MORALNĄ OSTOJĄ PRZEZ PIERWSZĄ POŁOWĘ ISTNIENIA.

DZISIEJSZY ZESZYT »MŁODOŚCI« MIAŁ CZYTELNIKOM, PAMIĘTNYM »SERWILIZMU U MŁODZIEŻY« I »ANKIETY SZKOLNEJ« — PRZYNIEŚĆ JEGO ARTYKUŁ — NIESIE NEKROLOG.

IMIENIEM REDAKCYI »MŁODOŚCI«, IMIENIEM WSZYSTKICH JEGO DRUHÓW, SKŁADAM MU NA TEM MIEJSCU: CZEŚĆ.

ADAM SIEDLECKI.

WARSZAWA 10/IV. 1900.

SFINKS.

Na początku było Słowo.
Joh. I. 1.
Am Anfang war die That.
Goethe. Faust.
Co to jest początek?

Z pośród pstrych i krzykliwych plam i kresek, tuż naprzeciw świateł gromnicznych, wyglądających z wielkiego płótna, na którem przepych ceremoniału okazuje się w całej swej zewnętrznej, hałaśliwej, świeckiej mierności, w milczeniu, z niewielkiej przestrzeni, wyłania się głowa kobiety, Malczewski ją malował, nieruchoma, spokojna zbyt słabym jest wyrazem, obarczająca, przez swoją delikatną surowość, przez swoją nieugiętą niemość, pętami całą istność bez troski przechodzącego mimo. Ku niej spogląda człowiek okuty w kajdany. Od pierwszego rzutu oka nagłe uderzenie w czoło: na granicy mózgu staje uporczywie nieodgadniona, myśl, niewyrażone, słowo, które swą niemością pragnie rzucić się w przestrzeń i oswobodzić przechodnia z czaru, z opętania, z niewoli: postać człowieka okutego w kajdany wychodzi z obrazu i staje przed tą twarzą: Sfinks. Zaciszny korowód rozmyślań wiąże się z tym tworem zamierzchłych epok. Niezliczone razy Malczewski rzucał ją na płótno, tę postać. Gdzieindziej, tuż opodal, »Śmierć«, i drugi obraz z tymsamym podpisem, śmierć wolna od wszelkich oznak konwencyonalnych na swej powłoce, nieruchoma i niema, wyrastająca wśród markotnej atmosfery świstania jesiennego wiatru, na wsi: Sfinks, Przyroda, rozległa, pogodna swoboda i samotność. Wskroś wieków człowiek zwisał myślą nad »znaczeniem« tej postaci. »Zagadka świata«: Sfinks tylko dwa te wyrazy na czole miał wyryte i od tego przybytku może raczej zmarniał i znędzniał, w oczach świata jedynie, na szczęście, nie w swoich własnych. Tautologia jednak na długo jeszcze pozostanie regułą człowieczego myślenia. Najbardziej niepokoi dwoistość, dwulicowość: absolutny, niemy spokój tej postaci i niejasny tok myśli, jaki wznieca i podsyca; z konkretnym utworem artysty mając do czynienia nie sposób »odgadnąć«, czy to wyobrażenie idei (w takim razie: jakiej, czy też wogóle), która nieustannie zajmuje umysł, czy też zwykła kobieta, pod umiejętnem milczeniem kryjąca powszedniość i mierność duszy, albo pod niemotą przyrodzoną, prawdziwą, rdzenną, kryjąca skarby rozległych krajobrazów. Nie sposób »odgadnąć«, czy to do ostatecznych krańców wyodrębniona jednostka, czy też całe życie, któremu ta postać skupione nadaje widzenie. Ludzie

niemi, motyw zużytkowany przez Tetmajera, lecz, w duchu tego poety, jednostronnie, czasem zwierzęta (koty), działają tajemniczo właśnie wskutek tej dwoistości. Dwoistość, splot dwóch światów w czystej, na pozór, zewnętrzności: martwy zrys, surowo, umiejętnie wykuty w podatnym granicie wieczności, która w ten sposób staje się jego przyrodzoną ozdobą, jego codziennem środowiskiem, nieodłącznem tłem, wypełzłem z ciemności, żeby swą niematerialnością narzucić się teraz, oczom. W dziele sztuki jednak niema tej dwoistości, artysta jej nie zna: dwa światy, niepogodzone nigdy dla oka skrzywionego wychowaniem, wiążą się w jeden. U Malczewskiego, tu, np. »Śmierć«: daleko już od skrzywionych, szyderczych lub zrozpaczonych twarzy, które tylko zaciemniają i zacieśniają pierwotną jasność i rozległość widzenia i odbierają mu nieskalane piękno absolutnej niemości, to znaczy swobody, niezależności od przypadkowych działań świata zewnętrznego. Istotnie, co znaczą skrzywione usta, skurcze mięśni na twarzach, którymi posługuje się, gdzieindziej, doskonalący się, malarz, żeby wyrazić „stan wewnętrzny« przedmiotu wyobrażonego? Co znaczą, jednem słowem, tak zwane twarze »mówiące«, jedne tajemnicę jakąś miłosną, — w razie potrzeby tajemnicę świata! — drugie radosną nowinę, mówiące zatem słowa i nic więcej, zacieśniające więc temsamem (na chwilę co prawda), zamiast ją rozszerzać, treść życia? Co wyrażają te postacie psychicznego? Grecy, którzy tyle rzeczy wiedzieli i umieli, umieli także cenić niemość, dlatego ich Sfinksy, Venus, tak są nieśmiertelne. Po nich wielcy mistrzowie przejęli misterya sztuki (Lionardo w swoich kobietach, Khnopff w całym szeregu postaci kobiecych, niektóre studya Wyspiańskiego, tylu innych, teraz tu, Malczewski). Sfinksy nie mają twarzy »mówiących«, są nieme, bezsłowne i bezdźwięczne, nie mówią nawet... »tajemnicy«. Wśród tłumów niewolniczych Sfinks jest niezależny, swobodny, wśród gwarów jest samotny: przyrodę, świat, wieczność zamknął w sobie, a ona nie mąci swoją martwą równowagą harmonijnie biegnących linij twarzy. Swoją nawskroś materyalną wyrazistością, swoją ziemskością i ludzkością (w najmniej filantropijnem znaczeniu) sfinks jest idealnem urzeczywistnieniem życia wewnętrznego, niezależnego. Ci, dla których Grecy sam kształt tylko mieli na oku, zbyt mało przypisują im potęgi myślenia, tego myślenia, które również, gdy prawdziwe, jest nieme. Sfinks, wolny od »ciała« (które jednak tak u niego uderzające, wytworne i pełne elegancyi), wesoły, lekki i daleki, nieposłuszny jest prawom, którym podlega każdy śmiertelnik; jakże często, może i zawsze, u zwykłego człowieka, przypadkowe skrzywienie, przesunięcie się nieznaczne rysów twarzy,

odzywa się stanowczym i zabarwiającym dźwiękiem w »wewnętrznych« pokładach istoty i wytwarza t. zw. uczucie? Rozumiecie: on ma w sobie uczucie, lecz niem nie jest. Ciekawa byłaby psychologia pozy. Wyobraźmy sobie człowieka, u którego »życie wewnętrzne« jest na taki sposób (przeważnie przyczyna tkwi w literaturze) rezultatem dopiero, końcem, odruchowym wytworem, podobnie jak u tłumu *), który, powtarzając ruchy mowcy, agitatora, wywołuje w »sobie«, tymi znakami, wzburzenie. Pojmiemy, że wówczas kończy się właściwie życie takiego człowieka, następuje rozłam na dwoje, obumieranie, usychanie w tropikalnej atmosferze, dla niego nieodpowiedniej, zaświatowej (nie należy mięszać z »drugim światem«). Porzućmy go jednak dla innych analogij, jakie budzi Sfinks swoją niemą cichością. Idea Sfinksa, odwieczna jak świat sam, będąca sama niejako potęgą przyrody, zrodziła się jako dzieło sztuki, w umyśle ludzkim, już po długich wiekach kultury; Sfinks jest jej rezultatem i krańcem, martwym zrysem wykutym w granicie kultury, chylącej się, jak mówią, do upadku, przetwarzającej się w inną rodzajem, jakby mówić należało właściwie. Sfinks przybiera rozmaite kształty (dandy!); ten jedyny twór wolny jest człowiekiem dumnym, szczęśliwym, pogodnym. Najbardziej wyrafinowaną zewnętrzność, sztuczność, łączy z najbardziej nikłą i razem rozległą wewnętrznością, przyrodą, w jedną całość. Niema »w nim« rozdźwięków, nawet tragicznych niema, o których tak szeroko rozprawiają niektórzy, ponieważ nie wniknęli swoją wiedzą w świat, który jest tragiczny, temsamem więc pogodny, szczęśliwy, swobodny: życie zawsze zwycięża. Sfinks, w jakiejkolwiek znajdzie się szacie, zawsze jest jeden, harmonijny, pełny, boski: jest początkiem i końcem, nie »zagadką świata«. Słowa te są wynalazkiem tych, którzy wszędzie, to znaczy nigdzie, bo poza sobą, poza światem, szukają początków, bóstw, którzy nie umieją uchwycić własnej istoty i jej kolejnych przemian jako bóstwo, przypadek, konieczny, harmonię. — Przypuśćmy, że to na razie wogóle niemożliwe. Rzeczywistość jest aż nadto codzienna! — Sfinks pojmuje (i wie) zewnętrzność nie jako »wyraz« wewnętrzności, lecz jako samą wewnętrzność i naodwrót. Zewnętrzność tu, to widoczne, nie jest »rzeczywistością«; tej, o ile dotychczas wiadomo, nikt jeszcze nie widział swoją ręką. Dlatego Sfinks ma Słowo w tak wysokiej cenie; jest niezwykłym artystą, dlatego przywraca Słowu jego rdzenną, odwieczną niemotę. Dlatego Sfinks jest jak Przyroda, ta przyroda, która jest niema. Niekoniecznie, ponieważ nie posługuje

*) Scipio Sighele: Psychologia tłumu.

się mową, bo nawet dźwięków rozmaitych nie używa, mowy nieartykułowanej. Dźwięków w przyrodzie niema. Lecz ponieważ nie umie oddzielać się od środków wyrażania, któreby nie były nią samą. Przyroda wyraża się sama sobą: rozległym gestem, który w migotliwem mgnieniu skraca ją i ścieśnia całą do błyskawicznego rytmu, który jakby jej dalekie echo, pochwytne jest dla tworzącego harmonie ucha. Jestto rytm bezdźwięczny, jak każdy zresztą drobnostkowy rytm, jakżeż bowiem przypisywać dźwięczenie niematervalności? Uważanie słowa i języka wogóle, albo rytmu ze względu na dźwięk, melodyjność, zaszeregować będzie trzeba w poczet sentymentalnych wymysłów przeminionych wieków. Mowa nie jest dla słuchu, lecz dla języka, trzeba mieć uszy w języku. Tak dalece prawdopodobnem jest, że słyszane wyrazy przez język przechodzą do świadomości. Powtarzamy jednak zbyt już automatycznie, żeby to zajście módz uświadomić. Spojrzyjcie jeno na to Miasto niemych, nieustannie, równocześnie mówiących! Słowo nie jest dźwiękiem, słowo jest wolne, niezależne, absolutne, nieme, oczywiście nie tych znaczków kilka, które rzucone kiedyś, dawno, na papier, tworzą tak zwany wyraz, zawierający »w sobie« (nie będący) na zawsze skamieniałe pojęcie, lecz słowo jako łącznik dwóch światów, jako Sfinks, organizm, jako istota o biodrach wypukłych i piersiach, a niema. Przyroda wyraża się sama sobą, więc i wszystko, co tu wyraża się na ziemi, wyraża się samo sobą. Takie jest prawo, niezmiennie rządzące niewolnikiem. Słowo jest potężnym zrysem wykutym w granicie wieczności: nie jestto przedmiot czczego grupowania, lecz ognisko, w którem sprzeczne światy układają się do idealnej równowagi, harmonii. Słowo w ten sposób nabiera znaczenia nawskroś psychicznego, niematerялnego, staje się nie już wyrazem duszy, lecz duszą samą, przyrodą, Sfinksem. W dziedzinie sztuki wynika z tego absolutna jedność za tak sprzeczne uchodzących żywiołów: treść i forma. Jestto tajemnica wielkich stylistów, twórców jedności i harmonij, we wszystkich gałęziach sztuki (w muzyce, malarstwie i t. d.): Poe, Baudelaire, Słowacki, w »Królu-Duchu« przedewszystkiem, Nietzsche, u których myśl nie jest niczem rożnem od słowa, u których dwa te żywioły przesycają się wzajemnie i układają do kształtów Sfinksa. W teraźniejszej poezyi polskiej, jeden przed wszystkimi innymi wydaje mi się tym poetą, Wyspiański. Oczywiście: jeżeli myśl pomyślana słowami znajdzie sobie ujście natychmiast, w tych słowach, rozlegle o p i s u j ą c y c h, czyli obchodzących ją dookoła, naówczas postrzępiona będzie na łachmany, niemiłosiernie. Lecz przezimować się musi w głębi ziemi lub drzewa, aż czas kwitania, wypełzania

na powietrze, odciskania się swoją formą na przestrzeni nadejdzie: wówczas wyrazi się jednym jedynym gestem, sobą samą, słowem. Mickiewicz, w latach spokoju, gdy malował puszcze litewskie, z uśmiechem zapewne wspominał odległe czasy (marnych kilka lat, które znaczą tyle, co pół kultury) w których słowo jeszcze zadawało kłam myśli. Lecz zdanie to lekko już wskazuje, że w istniejących, urobionych »pojęciach« widział ciasnotę.

Najpierwotniejszem, więc rdzennem wyrażeniem uczucia jest bezświadomy ruch, gest, czyn: odcisk własnej swej formy na rozległej przestrzeni. Przyroda, kobieta, która jest rdzennem uczuciem, tylko w ten sposób czyni, czyli żyje.

Na naszej drobnej przestrzeni (jakże wielka!) woda np. wyraża się falą i t. p. Nawias!: W ludzkich stosunkach, tak bardzo tychsamych codziennie, słowo »woda« wyraża się słowem »fala«. Words, words, words. Nawias zamknąć! W dziedzinie sztuki, uczucie intelektualne, już z przyrodą nic mające żadnych wspólności... prócz sposobu wyrażania się, na którym zresztą polega wszystko, jak dotychczas, w takisam sposób się wyraża: samo sobą. Widoczne to w malarstwie zupełnie, w doskonałem, w rzeźbie lub muzyce; w poezyi, mylnie obdarzonej wyłączną nazwą sztuki słowa, bo słowo nie jej tylko jest własnością, rzadziej doskonałość ta uderza: panuje tu bowiem wszechwładnie niemal mówienie. Lecz w tańcu np., który jest najbliższy życia samego i który uczestniczy taksamo w szeregu wszystkich innych odłamów sztuki i jest jej potęgą taksamo jak malarstwo, architektura, muzyka. U tanecznicy, wykonywającej ewolucye, to odciskanie się formy własnej rzuca się w oczy: ruch ukazuje się w swej niemateryalności wprost. Tanecznica wykonywa sobą gest, czyli jest ciągle jednym i tymsamym gestem, pozostawiającym za sobą cienie (możnaby unaocznić zapomocą linij... kropkowanych!). Korowody cieni, pozostawionych w tyle, w przodzie, wszędzie naokół tworzą rytm, ruch, którego niemateryalność w tej »czystej zewnętrzności« w ten sposób się ujawia. Należy analogicznie pomyśleć sobie taniec myśli, uczucia i rytm jej, jak zdąża za nią podobny do cienia lub bezdźwięcznego echa, albo też rozległego tła. Rozpowszechnione powiedzenie: »ubierać myśli w słowa« traci zupełnie na znaczeniu, a raczej nie miało go nigdy. Odwrócić będzie trzeba, jak tyle innych, i tę formułkę: materyał surowy »istniejących obrazów« ubrać będzie trzeba w formę. W wypadku, który nas zajmuje, słowo nie jest już gotowem pojęciem, nie jest już formą: naodwrót, pojęcie jest formą, którą trzeba nadać słowu. Myśl, idea, indywidualność odciska się na wyrazie, na wosku, jako pieczęć na zawsze niewygasła. Drugi

błąd tkwiący w zwyczaju językowym, ten, że istnieją myśli objektywne, wysokie i niskie, pożyteczne i szkodliwe, nie zaś tylko takie, któreby formułowały indywidualność, któreby jako urzeczywistniona forma piękna były symbolem, to znaczy, nie wykrawkiem odosobnionym jedynie, lecz formą skupiającą w sobie całą istność indywidualności, podobną do gestu przyrody, kwiat, drzewo, kropla rosy, który jest jej skróceniem, wyraża ją całą.

Z końcem każdej kultury, na zakręcie, zwiastuny przyszłości, dla skupienia jej w jedno ognisko, powstają wśród gwaru Sfinksy i samą swoją obecnością dają znać o sobie, samą swoją niemością przerażają umysły ludzkie, przywykłe do konwersacyi.

Oskarżają ich o bezmyślność, o proste igranie słowami lub formą, które uchodzą za szablon, za puste naczynie, dla każdego stojące na pogotowiu. Zamęt, jaki stąd powstaje, ma swoje źródło w sprzeczności, sztucznie stworzonej, między »słowem, czynem, myślą, uczuciem«. Dwie kultury, dwa światy, dwa słowa, chociaż jedno tylko może zaświtać w umyśle. Lecz w zawiązkach kultury zawsze nastaje rozłam widzenia (przeważnie tragiczny! to się rozumie), który rozprzestrzenia się tak długo, aż obie powaśnione strony zejdą się tam, skąd wyszły i powitają się niemym pocałunkiem: Sfinks.

St. Lack.



W mem sercu baśni o jutrzence
i fantastyczne kwiaty szronu;
w mem sercu jakby echo dzwonu;
w mem sercu zakrwawione ręce
grają na strunach miesiąca
odwieczny — ciemny
hymn.
Schodzę w labirynt podziemny.
U stóp mych morze się roztrąca.

TADEUSZ MICIŃSKI.

STANISŁAW PRZYBYSZEWSKI.

MSZA ŻAŁOBNA.

Zewnątrz stało się wnętrzem, jawa snem, rozkosz obrzydłym jadem a ból wstrętną pijawką, co się do serca przypiła i krew z niego wysysa.

A Ty? Gdzie jesteś? Żyjesz jeszcze? Umarłaś? Nie wiem. W mózgu moim pełno przerw i tam, a pomiędzy pojedynczymi świadomymi stanami braknie połączenia przyczynowego.

A zresztą — to wszystko drobnostka, rzecz nic nie znacząca.

Teraz jedno mnie tylko obchodzi: Cóż teraz?

Ale rzeczywiście, z całą straszną grozą powagi i pewności śmierci pytam się: cóż teraz?

A jeżeli Bóg rzeczywiście istnieje? Jeżeli dusza rzeczywiście nieśmiertelna, a w jedynym kościele katolickim można naprawdę osięgnąć zbawienie?

Ale brak mi wiary, wiary, wiary.

Wiara w Charcota i w boskie dopuszczenie przy opętaniu.

Wiara w Kant-Laplace i Darwina, a równocześnie w stworzenie świata w siedmiu dniach. —

Wiara w bóstwo Chrystusa i w bluźnierstwa Straussa lub Renana.

Nie! nie idzie — nie da się połączyć!

Niema ratunku!

Wstręt i obrzydzenie...

Gdyby dwa ogniska gangreny, wżerały się coraz bliżej ku sobie moja bezsiła, niewiara i to straszne obrzydzenie ku wszystkiemu i wszystkim, a teraz złączyły się w swem ropiącem się dziele zniszczenia.

Gdyby podziemne źródła, powstałe z ustawicznej ulewy, przesiąkają bezustannie najgłębsze pokłady mej duszy, rozsadzają i kruszą je.

Jak brutalne światło skwarnego lata zatruwają mi pokarm ziemi, w której tkwię, z której siłę moją czerpię, wysuszają i roz-

sadzają chlorofyl we wszystkiem, co z tej ziemi bujnem kwieciem wytrysło.

I tak zmieniło złoto swą wartość na miedź, zmieniło wszystkie nadzieje, myśli i uczucia straciły swoje napięcie, stały się prostymi odruchami; pełen szczęścia i rozkoszy świat rzeczy stał się niepewnym, bezistotnym symbolem, szarą mgłą, nachuchaną na szklistą szybę — a Ty, ach Ty stałaś się piekielną córką, szatańską Lilith z głową Sfinksa, z bujną grzywą włosów, co ci głęboko w czoło wrastają i z delikatnymi szlachetnymi rysami mej matki.

I chwyciłaś mię w Twe ramiona, spętałaś mnie ciężkimi zwojami Twoich włosów, jedną ręką zerwałaś gwiazdę, że spadła, i z sykiem zatonęła w cichym Oceanie, drugą zdajesz się chwytać krańce ziemskiego globu, by mnie ponieść w kosmiczną nieskończoność, gdzie przestrzeń staje się głupiem urojeniem, a czas sam siebie w ogon gryzie, bo się rozpostrzeć nie może.

I objąłem żelaznemi kleszczami Twoją szyję, wssałem się rozpalonemi ustami w Twoją pierś dziewiczą i piję z Twoich żył mleko matczyne z krwią zmieszane.

O ponieś mnie, ponieś, gdzie roztrzaskane światy błądzą samotnie i same o siebie się rozbijają.

O ponieś mnie, ponieś, gdzie gęste snopy gwiezdnych promieni w dół spływają, gdyby struny o siebie trącają i z nieskończenie cichą, drżącą, gdyby pierze edredonowe miękką harmoniją świat cały zapełniają.

Ponieś na jakiś punkt, gdzie siły przyciągające wszystkich słońc się znoszą, a ja stracę i ciężar i wagę i wszystkie stosunki do czasu, przestrzeni i środka.

Och ponieś, ponieś z skrzydły krzyczącemi radosne fanfary, skrzydły, co w dzikiej tęsknocie rwą się ku gwiazdom, ponieś tam, gdzie cała ma wielkość skurczy się w maleńki głupi atom. —

Gdzieś w bezatmosferyczne światy, gdzie kształty moje stopnieją, jak młody śnieg na południowem słońcu, gdzie się z wszechświatem zleję i jak lepka lawa meteoru w kosmiczny ocean spłynę. —

Rwij, szarp, nieś na przekór głupiemu prawu ciężaru i materyi. —

Ponieś na rozkołysane morze rytmów eteru. —

Na jakąś gwiazdę o miliardy lat od ziemi odległą, gdzie mógłbym spocząć, a tysiące stuleci nie dłużej żyć jak jeden moment, a oddalenie od ziemi nie odczuwać dalej jak ostrze dogmatu o protoplasmie, ostrze, na którem gdyby na rożnie ziemię nasadzę i w słońce rzucę, by się tam z swego kału oczyścić mogła i zbawić w złotem Nic słonecznem.

Ale nawet tego nie zdoła — nawet w żarach słońca pozostanie plamą błota.

Tylko nieś, szarp, rzuć poprzez wszystkie krańce, bym sam siebie niszczyć nie potrzebował.

Jak blask światła, połamany przez tysiąc szkieł, odrzucony od tysiąca zwierciadeł chcę powrócić do pierwotnej idei, z której powstałem.

Jak promień słońca, co padł na błotną ulicę i syty i pijany jej brudnem ciepłem, chcę powrócić do pra-słońca, co mnie tu wysłało, by sobie i ludziom przynieść szczęście i radość i wielki pokój...

Tylko nie z powrotem do ziemi jako marny żer dla robactwa, do wstrętnej, ohydnej kopulacyi anorganicznych i organicznych pierwiastków, do nowego piekielnego życia poprzez szereg głupich faz rozwojowych.

Jakież to straszne!

A jednak — stać się musi.

Boć tak mi stało napisane.

Teraz rozpoczyna się agonia — koniec nadchodzi.

Jakżeż to było?

Leżałem w łóżku; a w tyle głowy czułem jak gwoźdźmi przybitą, nieskończenie szeroką świadomość, że teraz muszę koniec zrobić.

Było, jakby w głowie mej kołował jakiś poplątany węzeł, wirował coraz silniej, zataczał coraz wścieklejsze kręgi w strasznem pragnieniu, by się rozplątać i rozwinąć w długie, delikatne nitki myśli.

A potem naraz jak dzika fala przypływu w drganiach konwulsyi, a poprzez nią wężykowata linia chorego niepokoju, co się ku górze wiła, coraz gęstsza, czarniejsza, coraz szybsza i niespokojniejsza, aż naraz uczułem jakąś dziką gonitwę, szum, jak gdyby tabun złych duchów powietrze przerywał, i jakiś nadludzki strach śmierci, w którym mózg pęka, pragnie sam przed sobą uciec i jak popękany pierścień zapadającego się świata obtańczać słońce olbrzymiemi kręgi w opętanej taranteli.

I znowu cisza.

Cicha, miękka, letnia błogość. Upojona rozkosz, co się kołysała na ciemno-niebieskiej, zwiewnem złotem obszytej toni!

A naraz zgrzyt, piekło, wybuch tysięca geyzyrów.

W głowie rozszalał się obłąkany taniec Wita i gdyby obcą siłą gwałtownie poderwany stanąłem wyprężony jak w skurczu.

Czułem, że mięśnie twarzy boleśnie się skurczyły, tak, że czułem głębokie kłucie rozpalonych szpilek, a szeroką męką rozwarte oczy zdawały się z orbit wypływać.

Stałem w rogu pokoju, z rewolwerem przy skroni i dyszałem.

Nie zrób tego, nie zrób tego! nie, nie! Na Boga nie! Tylko tego nie!

Odetchnąłem głęboko:

Boże, jakżeż można się tak przerazić, to przecież nie ja, to czarny paletot, co wisiał w rogu na ścianie.

Wyciągnąłem się znowu w łóżku, strasznie wyczerpany, objąłem głowę obiema rękoma, znowu siadłem, przycisnąłem dłonie z taką siłą do skroni, że jeszcze dziś ból uczuwam.

Jakieś nieświadome, głupie skojarzenia myśli przewłóczyły się po mej głowie — owa groźna fala przypływu rozbiła i skropliła się w pojedyńcze perły, co się wydłużały, jak gdyby kazano im przeciekać przez jakiś cieniutki otwór, widziałem krople w długich sznurach, co się raz poraz urywały — raz — dwa — trzy — cztery... a za każdą razą słyszałem, jak się rozbijały gdzieś w głębi o jakąś szklistą toń.

Jedno tylko rozlewało się błyskawicą poprzez czarną noc spienionych fal myśli:

Nie zrobisz tego!

A myśl ta poczęła łowić i wędki zastawiać w błotnistej sadzawce, wabiła tak długo, aż inna myśl wędkę pochwyciła.

Tak! a potem — właśnie to zrobisz!

I obydwie myśli zbliżały się coraz ku sobie, objęły się, siadły jak żmije wyprężone na ogonach, prężyły się coraz wyżej, spłotły się — i patrzały długo z łepkami w tył wygiętymi na siebie — patrzały długo, przenikliwie, a potem rozśmiały się cicho ku sobie.

Spełniło się to, co mi było przeznaczonem.

Tak będę stał, tak pistolet przyłożę do skroni i tak, zupełnie tak będę krzyczał i dyszał — nie zrobisz tego! nie zrobisz tego! — a równocześnie jedno pociągnięcie: straszne światło sądu ostatecznego zatańczy mi w oczach — teraz posłyszę huk gdyby grzmot walącego się łańcucha skał w bezdenne przepaści:

Stanie się!

Drżałem na ciele jak osika, serce chciało klatkę piersiową rozbić, a w skroniach biła krew o moje dłonie w dzikich podrywach i szałach.

Niepokój wzrastał, straszliwy lęk rozszarpywał do reszty kłębek mych myśli, rozstrzępiał ich związki i połączenia gdyby nasienny pył jesiennych kwiatów na wszystkie strony, coś mnie wgniatało przemocą w poduszki, kurczyłem i giąłem się, by nie uledz temu pchaniu i nagle zerwałem się, i znowu — całkiem z sił opadłem. Wkucnąłem w siebie.

Oczy wlepiłem w podłogę bezmyślny, oszołomiony straszną pustką i nocą. To tylko wiedziałem, że muszę coś wreszcie załatwić, coś do końca przemyślić, coś, przed czem miałem śmiertelny strach.

I nagle chwyciłem oburącz krawędź łóżka: na podłodze czołgała się rozlewna jaźń światła.

Przerażenie było tak okropne, że na chwilę straciłem przytomność.

Kiedym przyszedł do siebie, zrozumiałem, że prawdopodobnie zapalono lampę w domu przeciwległej ulicy.

I rozbiegło się po mnie uczucie nieskończonego ukojenia; byłem prawie wesół.

Ale naraz pomyślałem, że dlatego jestem tak zadowolony, bo ten szeroki promień światła odwrócił i rozprószył moją uwagę, którą przecież na czemś innem, na czemś nieskończenie strasznem skupić miałem.

Zimny pot wystąpił mi na czoło; wiedziałem, że odnowa muszę się tej strasznej męce poddać i ta pewność wżerała się ostrym trującym językiem w mój mózg.

Teraz siadłem znękany na krawędzi łóżka, pochyliłem głowę zbolałą, ująłem ją w dłonie i myślałem, myślałem.

Uczułem bezmierną litość nad sobą samym. Gorące wielkie łzy ściekały mi z oczu. Wtedy nie wiedziałem, że płaczę — ach, cóż mnie wtedy to obchodzić mogło!

Nie płakałem łez wyzwolenia, płakałem pogrzebowym śpiewem indyjskiego kacyka, co własny grób opłakuje.

Nie wiem, jak długo tak siedziałem.

Gdym ocknął, uczułem ziębiący, lodowaty ból.

Więc stałem w pośrodku pokoju i szukałem czegoś.

Aha! Papierosa.

Zdawało mi się, że wszystko minęło.

Zapaliłem papierosa, ubrałem się, otwarłem okno i stałem długo przy oknie w nieziemskim, majestatycznym spokoju.

Nie myślałem o niczem, wyprężałem się coraz wyżej, rosłem, potężniałem w straszliwym majestacie mego spokoju i ciszy, w groźnem, ponurem, przemożnem pragnieniu śmierci.

Jakieś dalekie wspomnienie prześlizgło się cichem jaśnieniem przez moją głowę.

Ujrzałem się naraz w kościele wiejskim. Ponury pół-mrok Gromnice jarzyły się tępym blaskiem, jak płonące oczy, i napróżno starały się przedrzeć woniejące mgły kadzidła, co z trybularza w szerokich pasmach płynęły ku monstrancyi. Wżerały się do połowy w gęste tumany a potem rozlewały się i syciły mgły kadzideł jasnem złotem, tak jak pierwsze promienie słońca sycą blaskiem opary, powstające z dymiących się łąk jesiennych.

Zaraźliwa choroba wyniszczyła połowę ludności, i co wieczór zbierał się lud w kościele rzucał się na krzyż i ryczał i wył w śmiertelnych potach trwogi i rozpaczy:

Od powietrza, głodu, ognia i wojny zachowaj nas Panie!

A pieśń rwała się dzikim rykiem, co serce wśród bolesnych drgań z ciała wyszarpywał, to znowu w bełkoczących jękach, co wszelkie słowo w krtani dławią, to znowu w stękach i rozpacznych krzykach, że żyły w mózgu pękały — i pieśń przestala być pieśnią, stała się piekielnem pragnieniem życia, olbrzymią lawiną, rozpostartą na nieskończonym obszarze, co się lada chwila stoczyć miała, stala się chmurą co już już się obrywała i cały świat potopem zalać miała.

A w tym cielesnym straszliwym refrenie: Wybaw nas Panie! jęczały dzwony, ryczały strachem wielkiego sądu organy i zwierzęce rzenie konających i przerażony krzyk dzieci, — włosy dębem stawały i mózg się mącił, kirem obłędu się zakrywał.

A naraz straszny ryk płaczu, płaczu obłąkanej rozpaczy i przeraźliwej grozy — ręce gdyby las szkieletów podrzucały się ku ołtarzowi — lud śmiał się, szalał w konwulsyach płaczu, bił się pięściami w piersi, walił czołem o posadzkę i krzyczał bezustannie:

Wybaw nas Panie!

A gdy stary siwy kapłan objął ołtarz obiema rękoma, kiedy straszny kurcz płaczu rwał go na wszystkie strony, kiedy on, który z pogardą patrzał na oprawców, co go niegdyś żywcem zakopać chcieli, jęczał i bełkotał ku Bogu w obłąkanym śmiechu — wtedy naród oszalał.

Słyszę tylko dziki ryk, szatański skowyt, jakby się całe piekło rozpętało.

Zdjęła mnie straszna zgroza przed tą bolesną, przerażającą chucią ku życiu, groza przed tym konwulsyjnym strachem śmierci i bezmyślnie, w febrycznych drganiach powtarzałem bezustannie:

Wybaw nas Panie!

A ponad ludem tronował Anioł śmierci z błędnym uśmiechem na ustach, straszny i okrutny — i znaczył tych, co umrzeć mieli swym płomienistym mieczem.

Czyż i ja byłem pomiędzy nimi?

A z mej krtani rwie się przemocą bolesne, żarliwe, ostatnią iskrą życia drgające:

Wybaw nas Panie!

Pomnę: znowu przebłyskujące wspomnienie:

»Patrzę na niebo, a niebo ciche, patrzę na ziemię, a ziemia śpi...«

Śpi ziemia, niebo tak ciche i tak głębokie i tak gwiazdami obsiane...

Niewypowiedziana cisza ujęła me serce w swe chłodne dłonie — cisza grobów i szerokich, zadumanych cmentarzy.

Była chwila, kiedy niewidzialne ręce pomazańca Bożego, wyjęły Przenajświętszy Sakrament z Tabernaculum wszechnatury i pokazały go światu całemu. A świat padł na oblicze swoje w grozie i strachu; pełen oczekiwania, drżący i świętą czcią przejęty czuł, że nadchodzi tajemna chwiła, w której chleb w ciało, a wino w krew się przemieni.

Teraz powinny zadzwonić dzwonki w długich odstępach po trzykroć razy, teraz powinien rozbiedz się żarliwy szmer przygłuszonego nabożeństwa, co serca ludu rozpiera, drżenie cudu przeniknąć świat cały, jak gdyby miliony w piersi się uderzały.

Sanctus, Sanctus, Sanctus!

I ziemia cicha, niebo zieje strumienie srebrnego światła gwiazd i wszystko spoczywa w kornej, głuchej ciszy, bo ja pan, który wszystko z siebie wyłonił — Ja pomazaniec, Ja arcypasterz przyjmuję ostatnią, świętą komunię.

Głęboka błogość, niebieska błogość świtów i przeczuć przyszłego życia rozlała się świętym strumieniem w mych żyłach; czułem, że skrzydła mi wyrastają, że się rozpościerają, gdyby dwa olbrzymie żagle, że rwą się do lotu — pienie oswobodzenia i tęsknoty za wieczną przyszłością wytrysnęło z mej piersi — byłem szczęśliwy, jak słońce południa, gdy się morzem światła na niebieskie morze oceanu położy i doń się przytuli — a otóż nagle schwycił mnie obłęd w swe upiorne szpony — obłęd, z którym tak długo walczyłem.

Noc dławiła, dusiła dzień w śmiertelnych, miażdżących uściskach, krwawą czerwień zmartwychpowstania zalewała szatańska czerń potępienia.

Strach i groza prężą się, gdyby dwa węże w sól przemienione, pnące się z odętemi cielskami ku straszliwej sodomie nieba.

W oczach moich prysnął grad deszczu siarczanego.

Szeroka, płomienna bruzda rozdarła niebo na dwoje, jakieś słońce zagasło, spurpurowiało jak czarna, zgangrenowana rana — drży, trzęsie, obrywa się, spada i rwie za sobą cały łańcuch gwiazd.

A z rozdartego nieba widzę w obłokach siarki i ognistej lawy rozpustną twarz z przymkniętemi, mrugającemi oczyma; usta otwarte jak w krzyku najwyższej lubieży, a włosy rozwarkoczone poprzez niebo jak wściekłe komety ogniste —

A z rozdartego nieba wydzierają się kobiece ręce, straszne, bezcielesne ręce, co ku mnie się wyciągają —

I z rozdartego nieba wyrasta apokaliptyczna nierządnica — okrąża mnie w szerokich kołach — już chwyta, obejmuje mnie, wyrywam się, padam na ziemię, walczę, szarpię się z nią — piana krwi burzy się na moich ustach:

Astarte!

Przyszłaś po swoją ofiarę...

Na moich ustach czuję Twój lodowaty, z rozpusty spłodzony pocałunek śmierci.

Tak! jestem śmierci poświęcony.

Duszo, Ty moja silna, wielka duszo, coś mi mą płeć pożarła, gdzież jesteś teraz?

Mózgu, ty biedny, chory mózgu, coś się miał stać moim bogiem, moim ojcem, gdzieżeś się ukrył, teraz, kiedy na Golgothę i krzyż idę? w jakąś norę się wczołgał?

Jak czarna głucha plama wisi słońce przylepione na niebie...

Eli, Eli, lama sabachthani...



O DAJ MI KLUCZE NIEBIOS SŁONECZNE,
A W NIEBIE MYŚLI CICHEJ OGRODY...

NIECH ZADUMANE, SENNE A WIECZNE
DUSZĘ MĄ BLASKÓW KOŁYSZĄ WSCHODY,

NIECH NA DALEKIE POLA OBŁOKU
IDZIE MIESIĘCZNY POBLASK MEJ PIEŚNI...

SMĘTNA MA DUSZA Z TĘSKNOTĄ W OKU
NA BIAŁYM STEPIE WIECZNOŚĆ SWĄ PRZEŚNI,

SMĘTNA MA DUSZA PRZEZ MGŁĘ STEPOWĄ
WCHŁONIE OD ZORZY BLASKI SŁONECZNE

I UJRZY Z MROKÓW WSTAJĄCE »SŁOWO« —
ŁZĄ JEJ WYŚNIONE, CICHE, A WIECZNE.

JAN PIETRZYCKI.

Z CYKLU: „EGZOTYCZNE WONIE"
MODLITWA O KLUCZE.



A. S. PROCAJŁOWICZ

MACIEJ SZUKIEWICZ.

ŚNIEG.

BAŚŃ LUDOWA.

II.

Wnętrze chaty Szymona Mała izdebka o jednem oknie i drzwiach. Łóżko z pościelą, komin, stół, ławy, sąsiek. Szymon siedzi przy stole przed miską z jadlem; Magda przy kominie drzemie z opartą o przypiecek głową.

SZYMON.

Stara — przymknij sie haw do mnie.

MAGDA.

Jedz, nie pytaj.

SZYMON.

Kiej nie rado
Tak samemu łyżką grzebać.

MAGDA.

Ano musisz. Kiejście z Jagą
Na podwórko wyzierali
Chlepłam sama na kominie
Trochę mleka i ziemniaków.
Teraz daj mi pacierz zmówić.

SZYMON.

Święto świętem — ale ciągiem
Słuchać Zdrowaś i Ojcze nasz,
Toć samemu Panu Bogu
Musi zecnić się do reszty.

MAGDA.

Szymek, Szymek — nie wydziwiaj.

SZYMON.

Nie wydziwiam — cóż wyprosisz?
Juści dzięka Panu Bogu,
Że nas zdzierżył tak na zdrowiu
I starości dał doczekać —
Ale starość... Oj, ta starość.

MAGDA.

Prawdę mówisz — oj ta starość.
Nie masz komu co porobić
Ani statku dosprzyglądać.

SZYMON.

Magda, Magda — oj ty stara,
A gdzie statek tu masz jaki?
Dwa uchate, stare króle,
Jedno krowię i gołąbek.
A dla kogo tutaj statku?
Teraz nie czas ci się modlić,
Trza ci było za młodości,
Możebyś se uprosiła
Dziewkę albo nawet syna.

MAGDA.

Boże! — toć'em tak prosiła
Za procesyą klęczkiem chodząc,
Na odpustach krzyżem leżąc...
O Panienko, lilio biała
Daj mi pisklę krwi rodzonej,
Wstaw się za mną i wyjednaj...
Małom świeców napaliła?
Ale widno, żem niegodna
I jak stara wierzba sucha,
Co na wiosnę pręcia nie da.
Oj grzesznicam...
(płacze).

SZYMON.

Cóż ty babo,
Magda! o la Boga, Magda!
(podchodzi ku niej).

Nie kwil stara — to daremno.
Jak się Bogu upodobi,
To już człecze ścierp w pokorze,
Zawdy jedno wciąż markocisz.

MAGDA.

Jakże nie mam ci markocić,
Kiej po kościach ziąb mi chodzi
Że nogami ino włóczę.
Dziś się zwlekę — ale jutro
Kto nam poda łyżkę strawy?
A jakby tak nie daj Boże
Chorobisko nas przysiadło,
Z głodu trzaby poumierać.

SZYMON.

Jeszcze przecie możem robić,
Jeszcze możem. — I tak myślę,
Że wić Pan Bóg jak ma począć.
Jakby na nas zesłał biedę
To by nam i pomoc przysłał.
Dobrzy ludzie wdy się znajdą.
Ot i dzisiaj — widzisz babo,
Jak ta Jaga Robocianka
Przypomniała se na starych.
A jak ona wartko biega,
Jak się raźno w izbie kręci
I zamiesza na kominie
I serdeczne słówko powie.
Magda, żeby my tak mieli
Taką Jagę? —

MAGDA.

E, cóż myśleć.

SZYMON.

Zawdyby nam o świtaniu
Zgotowała trochę żuru,
Omaściła krztyną szperki
Albo bryjkę zgotowała.

MAGDA.

Juści, gadaj — skądżebyśmy
Wzięli szperki albo mąki?

SZYMON.

Jakażeś ty głupia babo.
Nasza Pstrocha przy żłóbeczku
Sieczkę ino i mech żując
Porykuje ciągle smętnie
I po chmurach się rozgląda,
Że przez cały boży dzionek
Kwartę jeno z niej wyciśniesz.
A niechby tak dziewka była,
Co by ją na łąkę gnała,
Gdzie gromadzkie bydło chodzi,
— Bydłu trza też towarzystwa —
To pewnikiem nasza pstrocha
Wnetby się rozweseliła
I mleczusia telo troje
Udoiłoby się z wymion.

Trochę byśmy sami zjedli,
Resztę Jankiel wziąłby od nas
I dał za to po kapeczce
Białej mąki i słoniny.

MAGDA.

Juści mogłoby to być tak.

SZYMON.

A wieczorkiem taka Jaga
Przyodziewek nam łatając
Zaśpiewałaby nam trocha
Albo miałaby frajera,
Coby ku niej ciągiem chodził
I weselił puste kąty
Zalecaniem i śmiechami.
A jakbyśmy syna mieli....

MAGDA.

Toli, Szymek, przestań bajać.
Zagaś światło i chodź legać
Ja już wlezę pod pierzynę,
Żeby chociaż nogi rozgrzać.

SZYMON.

Kładź się babo — ja też wnetki
Legnę krzyże rozprostować
Ino jeszcze se popatrzę,
Czy kto został przy śnieżnikach.

MAGDA.

Pewno poszli już do domu.

(Magda kładzie się pod pierzynę; Szymon podchodzi do okienka).

SZYMON *(chuchając na szyby).*

Poszli — ale widzisz Magda?
Jeszcze śnieżka, com nią dostał
Nie stajała — popatrz ino.

(bierze z okna garść śniegu).

Jaki ci ten śnieżek biały
Jaki biały a miękutki

(przerzuca go z ręki do ręki).

Siedzą w niebie aniołowie,
Zapustowe młynarczyki.
Co umielą — to przesieją.
Ile przetak plew przepuści

Tyle śniegu na ziem zleci.
Co zostanie na przetaku
To rozczynią na kołacze
Dla Jezuska maluśkiego,
Żeby w zapust miał co pojeść.

MAGDA.

Kiej to plewy — to z tych plewów
Upiecz chociaż przaśny bochen.

SZYMON.

E, kiejś babo strasznie głupia.

MAGDA.

Pójdź już legać.

SZYMON.

Poczkaj jeszcze,
Niech popatrzę ino trocha
Na tę łączkę z śnieżnikami.

(patrzy przez okno).

O mój Boże — jak ta młodość
Zawdy chwacka i junacka.
Dobry Kuba — nie zabaczył,
Żem i ja był niegdyś młody,
Że i starym trza zabawy.
Tęgo zdzielił — bo od serca,
Ani jabym tak nie zdzielił
Kiedym gonił po zabawach.

MAGDA *(odwracając się do ściany).*

Zawdyś gonił za dziewkami.

SZYMON.

Ano gonił. Dawno, dawno,
Kiedym się w śnieżniki bawił,
Dużom bawiał się w zapusty
Ale takich ci śnieżników
Jak te dzisiaj — nie widziałem.
A Bartkowe zasię skrzypki
Hej ta młodość, ta wesoła.

MAGDA.

Szymek — toć mię sen już morzy,
Rusz się Szymek, świeczkę zagaś
Postaw miskę hań na półkę
Wygaś szczapy na kominie.

SZYMON *(do własnych myśli).*

Żeby my tak Jagę mieli...
Poleciała

(wzdycha).

MAGDA.

Jej do tańca,
Nie z starymi kiśnieć w izbie

SZYMON.

Poleciała...

MAGDA.

Toli kładź się.

SZYMON *(gasząc światło).*

Zaraz babo
Teraz ja niech pacierz zmówię

(siada pod oknem na sąsieku, żegna się, szepce poglądając na pole. Okno błyszczy od miesięcznego światła i osrebrza Szymona).

(po chwili).

Oj ta starość — puste kąty
Zdrowaś Marya łaskiś pełna....
Żeby to choć mieć za dzieci
Takie białe dwa śnieżniki,
O mój Boże, o mój Boże...

(Magda zaczyna chrapać. Szymonowi opada powoli głowa na piersi, ręce się rozplatają, drzemie; po chwili:)

Jaki biały a miękutki
. . . .
Jak anieli pięknie grają
. . . .
Oj ta starość...
. . . .
Ale oni jeszcze przyjdą
I przytulą, i przytulą ..

(Zamilka; chwila zupełnej ciszy. Otwierają się drzwi w głębi; wchodzą cicho Zawierucha i Mróz; w ruchach ich senność i obawa przed ciepłą atmosferą izby).

ZAWIERUCHA.

Ach —

MRÓZ.

Czujesz, czujesz?
(wskazuje ręką w stronę komina).

ZAWIERUCHA.

Cyt braciszku — nie mów do mnie,
Nie mąć pieśni harmonijnej
Co jak kamień w wód błękitność
W duszę mą tajemnie padła
I zatacza drżące kręgi

SZYMON *(przez sen, siedząc).*

Idą, idą... Pochwalony
A witajcież mi robaczki.

ZAWIERUCHA.

Widzisz? — przyszłam. Za twym głosem,
Za twym śpiewem szłabym wiecznie.

SZYMON *(powstaje).*

O, witajcie — ja tak długo,
Takem długo was wyglądał
Właśnie syna i córeczki

(Mróz i Zawierucha tuląc się do siebie cofają się przed Szymonem).

SZYMON.

Takem długo na was czekał
Takem tęsknił — o la Boga!
Co wieczorka łzy ciureczkiem
Z oczów starych mi płynęły
Alem czekał, ciąglem czekał.

ZAWIERUCHA.

O mów do mnie jeszcze, jeszcze...
Utęsknieniem sennej duszy
Piosnek twych bym się czepiła
I leciała razem z nimi
W rozśpiewaną, białą dal...
Jak mi tęskno, jak mi żal.

SZYMON *(zdziwiony).*

Ejże Magda — bo ci Magduś
Jako matce na chrzcie dano,
Nie wydziwiaj ze mną dziecko.

ZAWIERUCHA.

Ktoś ty taki?

SZYMON.

O la Boga,
Czy wy mnie nie poznajecie?
Toć'em z każdą łyżką strawy
Życie całe myślał o was,
Toć'em dla was żył wiek cały,
Grodził z Magdą tę chudobę,
Byle dla was co zostało.
Juści bieda biedą będzie,
Nie weźmiecie po nas wiele:
Starą chatę przygarbioną
I kożuchów starych dwoje.
Toć'em biedny, nie mam więcej
Ale to jest wasze, wasze,
O, robaczki me jedyne.

MRÓZ.

Między ziemią a gwiazdami
Ma nasz tatuś sług tysiące,
A zaś matuś ile zechce
Brylantowych sukien białych.

SZYMON.

Ej, nie śmiejcie się z starego.

ZAWIERUCHA *(do Mrozu)*.

Cicho...

(do Szymona).

Powiedz mi, kto jesteś?
Jeśli jaka moc tajemna
Większa od mej wielkiej mocy
Zamieniła cię w tę postać
I zabrała pieśń i skrzypki,
By me biedne serce zabić
Umrę błogosławiąc chwilę,
W której serce mi zadrżało
Od tej pieśni i od skrzypki.
Jeśli...

SZYMON *(niecierpliwie)*.

O la Boga, o la Boga.
Jakieściewy durne dziecka,
Jakie piękne, jakie dobre,
Jakto one rozweselą
I ozłocą człeku starość.

Mojeściewy wy robaczki
Jakie to przyścipne juchy
Nie poznają ojcaszeczka

(wyciąga ku nim ręce),

Magduś, przytulże starego.

(w kominie słychać wiatr i szmer popiołu i zarzewia).

ZAWIERUCHA *(ukazując na komin).*

Słyszysz, słyszysz mój braciszku?

MRÓZ.

To nasz tatuś chróstem trzęsie,
Gna przed sobą białe gęsie

SZYMON.

Ejże Magda, ejże Jasiek,
Bośty przeci jest mój Jasiek
Prawda?

ZAWIERUCHA *(ukazując z trwogą na komin).*

Słyszysz mój braciszku?

MRÓZ.

To na polu lecą gąski,
Od ich skrzydeł drżą gałązki
Matuś nasza leci przodem

(oboje cofają się przed Szymonem).

SZYMON.

Gadajcież co do starego!
Magduś, dziecko — pójdź haw do mnie
Przyciś głowę do swych rączek
Tych bieluśkich rączek twoich.

(siada na ławie przy stole).

ZAWIERUCHA *(podchodząc strwożona).*

O, kochany nad lęk serca
Droższe mi są twoje prośby
Tylko... ale tyś jest dobry
Prawda, że mnie nie zabijesz,
Nie wyrządzisz mi nic złego?

SZYMON *(wyciągając ramiona).*

Chodź, chodź dziecko.

(Zawierucha zbliża się i dotyka Szymona rękami; Szymon odsuwa się od niej na koniec ławy).

SZYMON.

O la Boga — takaś zimna.

ZAWIERUCHA.

Czemu uścisk twój tak boli?

SZYMON.

Magduś moja, dziecko moje
Takbym cię do piersi tulił.
Czemuż od cię zima wieje,
Ze mi ino zęby dzwonią?

(błagalnie).

Magduś, Magduś!

ZAWIERUCHA.

Powiedz, czy na waszym świecie
Wszyscy tobie są podobni
Bólem płacąc za pieszczotę?
Jeśli tak — to mię przygarnij
Wyssij życie z mojej piersi.

(dotyka go rękami; Szymon przerażony odskakuje od niej).

SZYMON.

Jezu! — możeś ty martwica.

(śmiejąc się ze siebie samego).

Oj ja stary, stary, stary —
Toćże zima i wy pewno
Pomarznęli na kosteczki.
Biały śnieżek polatuje
Taki biały a miękutki....
Głupi stary — ale czkajcie,
Wnetki ogień wam rozniecę.

(Zbliża się do komina i zaczyna grzebać w popiele. Zawierucha i Mróz posuwają się za nim. Gdy na kominie ukazuje się jeszcze trochę żaru Zawierucha i Mróz wstrząsają się dreszczem).

ZAWIERUCHA.

Ach.

MRÓZ.

Widzisz siostro? — przyczajony
Wróg nasz miga złotem ślepiem,

ZAWIERUCHA *(do Szymona).*

Czemu twoja twarz tak słodka?

Czemu usta sercu kłamią?
Tak miłośnie mówisz do mnie,
A z mym wrogiem się sprzysiągłeś
Na mą zgubę. O, bądź dobry!...

(śród oznak najwyższej obawy zbliża się do komina, na który Szymon nałożył nowych szczap. Za dotknięciem Zawieruchy Szymon dygoce jak w febrze i staje na środku izby).

SZYMON *(chcąc się przeżegnać).*

W imię...

(w wesołym tonie).

Toli dziecka nie żartujcie
Posiadajcie tu na ławie

(przyklęka przed ławą; w kominie wiatr coraz silniejszy).

Pojdźcież, pojdźcież — puść ją Jasiek,
Co tak trzymasz ją za suknie

(Podczas gdy Szymon klęczy wiatr na kominie rozżarza szczapy tak, że buchają płomieniem. Zawierucha i Mróz na środku izby zasłaniają się rękami przed ogniem).

ZAWIERUCHA *(chwytając się za piersi).*

Och jak boli, jak mnie boli

MRÓZ.

Zginęliśmy.

ZAWIERUCHA.

Ratuj bracie.

SZYMON.

Ot widzicie — już i ogień
Na kominie raźno trzaska.

(Ogień komina napełnia straszną trwogą Zawieruchę i Mróz. Wśród oznak przestrachu i bólu uciekają oboje z izby. W izbie cicho i ciemno; tylko lodowe kwiaty na oknie skrzą się księżycowem światłem).

SZYMON *(za odchodzącemi).*

Nie odchodźcie, czkajcie dzieci.

MAGDA *(budząc się).*

Hu, jak zimno

(wyściubia głowę z pod pierzyny).

Jezu rety,
Toć się dźwierka otworzyły

SZYMON.

Dzieci moje, moje dzieci.

MAGDA *(wstając z pościeli).*

Szymek — chybaś owaryował.
Co tak burzysz o pólnocy.

SZYMON *(prawie z płaczem).*

Dzieci moje, moje dzieci.

MAGDA *(trącając go).*

Szymek, Szymek — co ci dzisiaj?
Rusz się stary — toli widzisz,
Że nam dźwierki otworzyła
Zawierucha i mróz idzie.

SZYMON.

Magda, słuchaj — ty nic nie wiesz,
Ty nic nie wiesz, słuchaj stara.
Toli mamy dwoje dzieci,
Takie piękne, takie białe.
Poczkaj, zaraz tutaj wnidą,
Poszły jeno na chwileczkę.

MAGDA.

Szymek, czyś ty nie jest chory?

SZYMON.

Juści chory od radości.
Byli tutaj — a Magdusia,
Jakbym ciebie widział młodą.

MAGDA.

O Panienko przenajświętsza,
Zbudź się Szymek, Szymek, Szymek,
(potrząsa go silnie za ramię).

SZYMON.

Gdzie ja? co to? — Nic to, nic to,
Mówię babo, że wnet wrócą
(Magda idzie i zamyka drzwi).

Nie zapieraj — widzi mi się,
Że mówili: wnetki wrócim.
A pomarzły nieboraki!...

MAGDA.

Chodź se legnąć.

SZKMON.

Zaraz, zaraz,
Jeno wyjźrę na podwórko,
Co tam oni teraz robią.

(chce iść ku drzwiom).

MAGDA *(zastępując mu drogę i obejmując).*

Szymek — toć się raz rozcmuchaj.

SZYMON.

Puść mnie babo — ja tam muszę
(słychać ciche tony skrzypiec).
Słyszysz, słyszysz jak wołają?
Ja tam muszę do nich, muszę...
(szamoce się z Magdą u drzwi chaty).

III.

Taż sama łączka co i w pierwszej odsłonie, oświetlona księżycem. Słychać dolatujące dźwięki skrzypiec.

BARTEK *(za chatą Szymona).*

Wódki mi dać, wódki mi dać,
Bo mi wiecheć z buta widać,
A zaś biedę z pod płótnianki,
Dajcie wódki ze dwie szklanki.

(nagle urywa na skrzypcach i wchodzi na scenę zataczając się).

Dobra wódka, dobre piwo
Na tę moją dolę.
Dajcie garniec i trzy garnce,
Duszkiem je wygolę.

(reflektując się).

Bartek, Bartek — tyś się opił...
(staje i rozgląda się wkoło).
Tutaj była... Darmo szedłem,
Na przezbywki mię wołała.
Poczkaj Jaga!
(pauza).

Nie chce, nie chce...
Ze wszystkimi parobkami
Tańcowała dzisiaj rada,
Na mnie ani nie spojrzała.
Jaga, Jaguś — toć ty nie wiesz
Jakbym ja ci życie stroił
Gęślikami, piosenkami.
Żwir z przed nóg bym ci zamiatał,
A gałęzią od much bronił,
A zawodził a wciąż ćwierkał:
Idzie słonko, jasne idzie
A rozgląda się po niebie
Czemu więcej niż u niego
Złotych promion jest u ciebie.

ZAWIERUCHA *(cichutko).*

Znowu śpiewa, przyszedł, wrócił

BARTEK.

Jaguś, Jaguś — słuchajże mnie.
Jak się we mnie nie zalubisz
Pójdę w świat i zg.nę
Na wesołą twoją młodość
Łzą lub deszczem spłynę.
Jak się we mnie nie zalubisz
We wiatr się zamienię
Całe życie nockę czarną
Będę łkał w kominie.

(Nagle jakąś myślą uderzony potrząsa skrzypcami jakby je chciał odrzucić).

Kieżcie dyasi dziś nadali,
Cięgiem kwilisz mi markotnie...
Tańcująca nie usłyszy
A choćby i usłyszała
To ma serce jak z kamienia
Albo jak ta panna biała.

ZAWIERUCHA.

Do mnie, do mnie...

BARTEK *(przelękniony przypatruje się Zawierusze i staje między śnieżnikami).*

Ciesz się Bartek, ciesz nieboże,
Pokochała cię śnieżnica.

. . . .

Jaguś słyszysz? nie wstyd tobie?..

. . . .

Patrzcie, jaka teraz grzeczna...

. . . .

Choćbyś teraz mnie i chciała
Tyle bym ci zrobił Jaga,
Co tej białej pannie — patrzaj

(stojąc między śnieżnikami obala je. Równocześnie wychodzi z chaty Szymon, za nim Magda).

ZAWIERUCHA *(padając).*

Ach, umieram.

SZYMON *(z podniesionemi rękami).*

O o o!

(pada na ziemię, Magda pochyla się nad nim).

BARTEK *(śmiejąc się).*

Teraz skrzypko tobie grać.
Chodził wicher ku lilijce
O rannem świtaniu.
Lilia wiedzieć nie chciała
O jego kochaniu.
Namawiał ją, słodko śpiewał,
Szumiał wciąż a prosił —
Jak mu się sprzykrzyło prosić
Lilijkę podkosił.
Ejże skrzypko, skrzypko graj.

(Wychodzi: Słychać za sceną kilka taktów skrzypiec; zasłona szybko zapada).

Obłąkanie.

W powodzi mroków, w srebrnej pianie
Mgieł fantastycznych i miraży
Ciche, samotne obłąkanie
Skrzydła nademną białe waży...

Patrzę... Bez kształtu i bez twarzy
Źrenica wielka — sinosrebrna...
Skrzydła nademną białe waży,
Niby olbrzymia ćma pogrzebna...

W okole ciemnych horodyszczy
Groza i mgławych sfer rozwianie...
Li lampa moja mdło się błyszczy:
Ciche, samotne obłąkanie...

Żem się za ziemskie wymknął koło
Czuję i widzę świat odmienny,
Słyszę melodyę — złotą pszczołą,
Brzęczącą w kwiatach ciszy sennej —

Żem za orbitą czarnej ziemi
Czuję, lecz nie drżę, ni się trwożę — —
Pozamną ludzie leżą niemi,
Jak głazów pełne... martwe morze.

Piołunu chwast się bujnie plemi
Na pokropionym krwią ugorze — —
Pozamną ludzie leżą niemi,
Przedemną wielkie... białe morze.

I srebrno-drżące lilje piany
W krąg rozkwitnięte, jak lęg śnieżny — —
Morze tęsknoty zadumanej
I zamodlonej i bezbrzeżnej...

BOGUSŁAW BUTRYMOWICZ.

ROZTOKI.

Naprzeciw Tatr, między doliną nowotarską, a wężowatą kotliną Raby, wspięło się gniazdo dzikich Gorców... Od romantycznych Pienin odciął je wartki, Kamienicki potok, a od Spiskiej krainy odgraniczył falami bystry Dunajec. Samotnie stoją nad wzgórzami, a wyżej jeszcze nosi głowę ojciec ich rodu, zasępiony Turbacz. Niewiadomo, kto go chrzcił i skąd mu to miano. Może stąd, że turbanem mgły przed deszczem owija łysą głowę, albo raczej, że widywano go zawsze w Turbacyi wiecznej. Podle się z nim losy zaobeszły, dając mu zwykłą dumę wierchów i nadszczytów, a nie dając ich wielkości nadchmurnej. Osaczyły go jeszcze tłumem bliźniąt, wśród których maleje do znaku i zdaje się być zwykłą górą. A przecież coś mu się śni, że przed potopem inaczej było — coś mu się śni...

Z zazdrością patrzy, jak w słoneczne południe garbaty Krywań do Łomnicy się śmieje, a ona — zalotnica! — rada go widzi. Daremnie sią podnosi, by jej spojrzeć w oczy — ona hań grzeje czoło, wysoko...

Z zazdrości też umizga się o zachodzie do Babiej Góry. Widzi, jak opuszczona wdowa płoni się i czerwienieje i rada by się przychylić ku niemu, gdyby nie patrzeli na nią ze wszystkich stron.

Stary Turbacz mści się za małość swoją na wierchach Tatr, zasłaniając im czołem widok na wawelskie grodzisko. Zazdrosnem uchem łowi grające dźwięki Zygmunta i zasępia się w przeszłości dalekiej. Coś mu się śni, że drzewiej dzwony inaczej grały — coś mu się śni...

Ho! drzewiej! drzewiej!... Nasłuchał się Turbacz trąb wojennych — jeszcze mu do dziśdnia powietrzem grają, kiedy ociec wiatru, wiatr halny przyjdzie w odwiedziny. On je pamięta dobrze. Było to wtedy, kiedy stary Turbacz synom sprawiał wesele; kiedy Turbaczyk pojął Kopę, a Obidowiec zapatrzył się nań i pojął Obidowę... Wiatr muzykę sprowadził — niedźwiedzie tańczyły — a po Groniach paliły się ogromne wici... Byli tu goście, jakich już potem nie widywano — olbrzymy o płonących głowach — straszyciele...

Drzewiej Gorce daleko czerniały lasem i długo hrube drzewa nie widziały siekier. Gospodarzyły tu kolejno niedźwiedzie i wilki

i chowały się stada nieprzeliczone sarn. Pierwsza osada ludzka w tej okolicy, od późniejszego właściciela jej, a pana czorsztyńskiego, Lubomirzem nazwana, mieści się w roztoce tegosamego imienia od strony kamienickiej. Jest to zapewne rumuńska osada z czasów najazdu tatarskiego*); różni się też wielce od późniejszych obyczajem i gwarą, a zwłaszcza tem, że nie widać w niej szczątków słowiańskiego ustroju rodowego, jakie się w sąsiednich roztokach do dziśdnia zachowały.

Z pod Turbacza roztaczają się wody ku północy i spadają na dół wązkiemi roztokami, które się rozszerzają i zniżają powoli ku dolinie Raby, skąd ludność napływała zwolna, szła falą występującego przez wieki morza i zalewała roztoki ku górze. Po drodze znachodziła już wykarczowane lasy, polany i osiedla, zamieszkałe przez dawniejszych przybyszów. Byli to uciekinierzy z dolin, słudzy różnych bogów, którym zaciasno było w zaludnionym świecie, banicy, którzy od praw ludzkich uchylili się pod łaskawsze prawa natury, słowem — dziwna mieszanina ludzi z różnych krańców świata, przechodząca z czasem przez wspólną pracę we wspólne podobieństwo. Różnice ich rodów były jednak za silne by się doznaku stopiły w podobieństwie. Pozostał odrębny typ każdego i przetrwał napływ nizinnej fali, zachowując właściwe cechy swego charakteru. W jednolitej i szarej masie ludu, wypełniającej po brzegi strome roztoki — odcinają się wyraźnie dawne rody: Porębskich, Michalczewskich, Niedźwiedzkich, Cichańskich, a zwłaszcza Rakoczych. Jest to, można rzec, arystokracya wsi, panowie-chłopi, ufni w potęgę swoich familii, nadający kolejno ton całemu plemieniu. Mimo, że z czasem przydomki różnorodne zastąpiły im nazwiska rodowe, a grunta ich dzisiejsze nie różnią się od innych wielkością, ni wydajnością ziemi — czują oni wszyscy, że pradziadowie ich znojem zdobyli tę ziemię, że oni wykarczowali stuletnie smreki i jedle, wyrąbali polany — i butnie noszą głowy. Kiedy ongi roztoki przydzielono do państwa czorsztyńskiego, pradziadowie ich długo opierali się tej niewoli. Z czasów tych pamiętają, do dziś dnia jeszcze, wolne ptaki — drużyny zbójeckie. Tesame rody później oparły się przedaży gorzeckich lasów. Dopiero po zastrzeleniu wójta Porębskiego ustąpiły przemocy.

*) Wiadoma rzecz, że podczas najazdu lewe skrzydło tatarskie opierało się prawie o Karpaty. W tem skrzydle szli Rumuni, nie z własnej ochoty, a z musu — więc chętnie zaginęli w lasach, gdzie mogli ostać swobodnie, karczując je, bo wracać nie mieli po co, obawiając się, i słusznie, powrotu fali. Że tak było, nie w jednem miejscu, można wnioskować i z naleciałości w gwarze, w której znajduje się wiele rumuńskich wyrazów.

A dziś?... Wszystko idzie z góry, jak mówią, osuwa się powoli. Spokrewnieni z biedą — ludzie się psują. Wszystko się psuje i rozpada.. Gorzec dziś jednym cmentarzem, szarzejącym wyrębem, pustką... Nad roztokami upiór nędzy — w roztokach morze łez... Dziesięć tysięcy zgłodzonych istot kopie tę ziemię skalistą, a ryć dopomagają dziki-przybylce.

Niedawny czas, kiedy padły z jękiem odwieczne smreki i jedle — miód sączył się po kłodach — niedźwiedzie lizały... niedawny czas!

Znój pracy ludzkiej przepełnił kotliny i spływa roztokami w świat — i mąci wody...

Władysław Orkan.

TEATR.

Sen srebrny Salomei.

Z sennej mgły ukraińskiej wyrwał się tabun rozhukany, przeleciał stepem burzanów i znikł w dalekich tumanach. W szybkim, niedościgłym locie przemknęło parę twarzy znajomych, pięknych czarem przeszłości, błysnęły szable szlacheckie, przesunęły się przed oczyma „krwią rumiane cmentarze", a z tego rozpętanego orkanu, przez wiry mgieł krwią czerwonych, przez zgiełk boju i przerażenia przebiło się parę głosów serdecznych, tchnących cichą melancholią stepową, zasłuchanych w świat inny... w swój świat.

W „Śnie srebrnym Salomei" wszystko z jednego płynie wątka. Ludzie, zapatrzeni w zewnętrzność życia, tracą wiarę w tajemne poszepty własnej duszy, oddalają się więc zwolna od siebie samych, czy — jak poeta chce — od świata duchów, który nie przestaje ich czarować tajemną mocą snów, przeczuć i widzeń. Cały dramat, to ekspiacya za ten brak wiary, oczyszczenie przez mękę ducha, płynącego wzwyż, w nieskończoność. Życie, które przez zamknięcie się w sobie skarlało i straciło czucie nieskończoności, musi w ostrych skałach wyrywać nowe koryto, przedzierać się spienionym zatorem do dawnego łożyska. I cóż stąd, że w tym bolesnym zawrocie zrani się o ostrza kamienne, że zakotłuje parę razy w szalonych podrygach i na brzeg wyrzuci krew — pianę? Popłynie dalej. Wie o tem poeta, patrzący na rzeczy *sub specie aeternitatis,* kiedy wśród wszystkich burz i potworności, ma twarz pobłażliwie

spokojną, a z mgły krwią przesiąkłej, tworzy różane girlandy, igra niemi i w puch je rozwiewa. Wie o tem i księżniczka (raczej czuje, niż wie) jedyna, którą nie dziwi, że „sprawdzają się widzenia, a świat jest z duchami zgodny". Kapryśna a głęboka, uśmiechnięta a tak dziwnie smętna, jest naturą złożoną, subtelnie wrażliwą, zdolną pochwycić najlżejsze drgnienia duszy, najtajniejsze zawiązki rzeczy. Co chwila zmienia swą barwę; napozór pozostaje przy tem zawsze naiwnie szczera, nawet powierzchowna, ale czujemy, że u niej zewnętrzność, wyraz nie wyczerpuje całej istoty. Poza swawolnym uśmiechem i lekką ironią, ma czasem takie przejmujące wibracye głosu, tak głębokie zapatrzenia w zaświaty, że w swem zjawiskowem pięknie odrywa się od otoczenia i unosi nad niem jakgdyby nadziemska. Jej jednej nie wciągnął rozpętany orkan w szalony wir wypadków. Przez cały ciąg dramatu stoi prawie bierna, choć tak znacząca; wśród zgiełku — spokojna, bo z wzrokiem utkwionym w tę przystań duchową, gdzie cichnie każda walka, gdzie się wyrównywa każda pokłócona zewnętrzność, łagodzi każda sprzeczność. Do tej przystani zawiną później wszyscy, a na ubiegłe wypadki spojrzą jak na sen. Jest tam już dawno Wernyhora „lirny król ostatni", twarzą w przyszłość zwrócony, wcielenie tej mocy ducha, co rozwidnia najdalsze horyzonty, działa za wypadkami, ukrywa się i znów wybucha i ludzi prowadzi swojemi drogami, ku swoim celom. Ten niewstrzymany pęd ducha tętni w każdym wierszu i nadaje całości przy wielkiej plastyce tak niezrównaną zwiewność, przy ogromnej wybuchowości i rozpasaniu — ciągłe dążenie do wyrównania, harmonii.

Z sennej mgły ukraińskiej wyrwał się tabun rozhukany, przeleciał stepem burzanów i znikł w dalekich tumanach. Jak echo konającej przeszłości gasną ostatnie dumy Wernyhory. E. L.

Dramat Lwa Tołstoja. **Władza Mroków *).**

— Tołstoj?

Aha! To ten hrabia. Tak. Lew Tołstoj, mówi o państwie Chrystusowem i chodzi w czerwonej rubaszce. Wiem. Ten.

— Tak jest. Lew Tołstoj. Arystokrata, tak trochę ludowiec (z galicyjskiego punktu widzenia). Po za tem biblijna postać z XIX. wieku.

Biblijna postać. Lew Tołstoj nienawidzi Zła. I to jest w nim prawdziwie wielkie, boć nienawiść to taksamo potęga równa tęsknocie; tej choćby mesyanicznej. Tołstoj nienawidzi Zła i czeka swojego Mesyasza: pohańbienia Mroków.

Tołstoj nienawidzi Zła i tem potężnieje do posągowych kształtów symbolu. W tem jest swoim własnym symbolem: Tołstojem.

---

*) Włast' t'my, po krakowsku »Potęga ciemnoty«.

Czeka swojego Mesyasza, czeka godziny pohańbienia Mroków — i tem jest mały, w tem niedorasta do samego siebie.

Boć był taki, co nienawidził zła i ukorzyl się przed niem. Z wysokości świętego szafotu patrzał w swoje wieczyste wizye, a głowę zwieszał ku czerni, co była zła i potworna. Z pokorą patrzał na złych i potwornych.

I tem on był w zgodzie ze swą nienawiścią.

Lew Tołstoj pojmuje zło, jako coś stworzonego na kształt i podobieństwo socyalnego kapitalizmu: wytacza mu walkę, organizuje bezrobocia cnoty.

I to jest jego czerwona rubacha.

— Więc jest poganinem choć jest najpilniejszym uczniem Chrystusowym.

— Poganinem jest w swoim głodzie słońca: w nienawiści Mroków.

A Mrokiem jest mu wszystko, co od życia wewnętrznego, duchowego, „życia podług Boga“ odbiega. Tak odbiegł od Boga Nikita, gdy po raz pierwszy wobec świętych obrazów zaparł się samego siebie. I od tej chwili truje, morduje, cudzołoży; nie dlatego, że chce, ale dlatego, że musi; że musi zasłużyć na karę za odszczepieństwo od samego siebie. Musi truć, mordować i cudzołożyć, aby w prostym skutku święciła się prawda Boża, nie nad nim Nikitą, ale nad tą zbrodnią, nad tymi Mrokami, co prawdę Bożą na bój wyzwały i w sromocie na krzyż hańby poszły.

I tak prawda Boża po dziewietnastu wiekach rozpina na krzyżu: zło a potworność.

A czernią kto? —

Une thèse, albo po naszemu t. zw. „teza“.

Ale Tołstoj zanadto jest arystokratą, aby „Władza Mroków“ była froeblowskim dramatem. Ma swoje socyalno-mistyczne cele, ale się w nim kłębi od potężnych bólów i pragnienia.

W stosownych miejscach robi wycieczki do oświaty ludowej i bezbożności banków (akt III. i IV.) — bo to jest jego czerwona rubacha. Ale że się ta rubacha zrosła z jego słowiańską szczerotą, więc mu ze sobą przyniosła: i ból chłopskiej prostoty, i żywiołowość i rozmach. To wszystko ma jego Nikita.

Nikita ma w sobie wszystko, czego wymaga Tołstoj od pomazańca prawdy Bożej. Umiłował swojego Nikitę i dla tego jego, ale nie kogokolwiek innego daje na objatę potworności i Mrokom. Niech władają nad nim, nad umiłowanym, aby się święciło święto prawdy Bożej.

I tem jest Tołstoj najpilniejszym uczniem Chrystusa, choć jest poganinem.

Sdl.

PLON KONKURSOWY.

Konkurs lwowski rozstrzygnięto. Dramat laureata nie zaspokoił nawet najmniej wybrednych słuchaczów. Dziwna rzecz. Z cyklu sztuk znacznie lepszych (czego świadectwem „Dyletanci“ Z. Wójcickiej) wybrano „Zmory“, rzecz tak błahą, że nie warto nawet wytykać jej błędów.

„Dyletanci“, to już dramat pełen myśli. O ile myśl staje się własną, o ile można ją przetworzyć, bądź uzupełnić, wyciągając za pomocą pewnej modyfikacyi charakter główny i istotę, potąd naśladownictwo nie jest wadą debiutantki, a talent bądź co bądź przebija w scenie — zaznaczmy głębiej: — słowie — w słowie scen poszczególnych.

Panna Wójcicka tworzy grubym psychologicznym konturem. Ton jaskrawy, nerw napięty — to symptom, który uwydatnia się w jej dziele, maluje konturowe, a jednak jaskrawo-inteligentne pejzaże, pejzaże złożone z samych osób — rzecz dziwna!

Ważną rolę dla autorki odegrały Kisielewskiego „Karykatury“ i „Sonata“; ale któż z młodych nie patrzy we wzory? Ile wzór lepiej dobrany, ile większy kontrast pomiędzy twórcą, a odtworzycielem, tem lepiej dla wzorujących się, tem lepiej dla dzieła. Autorka „Dyletantów“ była i w tym względzie szczęśliwą. Rzecz wypadła wcale dobrze — odrębna temperamentem od wzoru, stała się jego portretem à la Munch — a wziąwszy pod uwagę, że portret był pierwszem dziełem — śmiało można wróżyć rzeczy lepsze, rzeczy zupełnie dobre. Ptr.

OD REDAKCYI.

ZESZYT TEN WYDAJEMY W PODWÓJNEJ OBJĘTOŚCI ZA KWIECIEŃ I MAJ.

MŁODOŚĆ WYCHODZIĆ BĘDZIE ODTĄD W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA.

Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Mens. — Drukarnia Narodowa w Krakowie.

Cena zeszytu IV. i V. 1 kor. 60 hal.